

Meandry pracy domowej

Autor: Karol Pogorzelski

Ponieważ zbliża się dzień kobiet, jest to dobra okazja, żeby powrócić do poruszonych przez Mateusza Machaja [w poprzednim komentarzu](#) wątków feministycznych. Tym razem jednak będzie nie o parytetach, ale o innym postulacie często ostatnio podnoszonym przez środowiska kobiece. Chodzi mianowicie o uprzywilejowanie pracy domowej kobiet. Jak wyliczył GUS (zachęcony do tego przez Komisję Europejską) wartość pracy, jaką w ciągu miesiąca wykonują nieodpłatnie kobiety w domu wynosi ok. 1227 zł (nie wiadomo tylko, czy brutto, czy netto). Nie jest to wprawdzie szczególnie imponująca kwota, ale parafrazując przysłowie: mieć 1227 zł i nie mieć 1227 zł, to razem 2454 zł - a to już pieniądze, o które warto się upomnieć. Pierwszą inicjatywą, która miała to na celu, była kampania [Zrobione Zapłacone](#), której autorki w sporządzonej przez siebie [ulotce](#) nawołują:

„Mężczyznę, który godziłby się przez lata pracować za darmo nazywano by szaleńcem lub niewolnikiem. My, kobiety, od zawsze pracujemy za darmo w domu. Jesteśmy przekonane, że to nasz odwieczny, naturalny obowiązek (...) Nie upominamy się więc o zapłatę.”

Swoją drogą to trochę paradoksalne, że lewicowe zazwyczaj feministki, sprzeciwiające się zazwyczaj regułom rynku, domagają się, aby wyceniać pracę domową kobiet, jak każde inne dobro. Ponieważ jednak pomysł ten okazał się trochę zbyt szokujący, więc kampania złagodziła swoje postulaty na: [Zrobione, docenione, wiele warte](#). Wkrótce ruszyła też akcja układania [listy czynności domowych](#), żeby dokładnie było wiadomo, co robią kobiety w domu, kiedy ich mężowie są w pracy. Na koniec, 26 stycznia 2010, w świetle jupiterów, feministki pod wodzą Sylwii Chutnik (autorki „Kieszonkowego atlasu kobiet”) przekazały parlamentarzystom swoje [rekomendacje](#) dotyczące nieodpłatnej pracy kobiet.

Co w nich ciekawego można wyczytać? Cześć postulatów jest całkiem słusznych, tylko źle zaadresowanych. Autorki chcą na przykład, żeby żłobki i przedszkola były czynne dłużej, tak żeby łatwiej było pogodzić pracę zawodową z opieką nad dziećmi. Należy się z tym zgodzić, ale dlaczego mieliby się tym zajmować parlamentarzyści? Nie od dziś wiadomo, że na potrzeby konsumentów skuteczniej odpowiadają przedsiębiorcy niż planiści. Wystarczyłoby tylko ułatwić rozwój prywatnych przedszkoli i żłobków (choćby poprzez likwidację nieuczciwej konkurencji ze strony ich publicznych odpowiedników) a problem sam by się rozwiązał. Dużo bardziej dyskusyjny jest jednak inny postulat feministek, który dotyczy bezpośrednio pracy domowej kobiet:

2.4. Biorąc pod uwagę fakt, że poważnym problemem społecznym jest brak regulacji dotyczących zabezpieczenia finansowego osób (przeważnie kobiet) wykonujących nieodpłatną pracę w domu na rzecz rodziny i niepracujących zawodowo, Fundacja MaMa uważa, że należałoby szukać rozwiązań prawnych umożliwiających wliczenie do emerytury okresu zajmowania się domem i wychowywania dzieci.

W obecnym systemie emerytalnym postulat ten jest dość łatwy do wprowadzenia. Problem w tym, że emerytura wypłacana za krótszy okres gromadzenia składek byłaby bardzo niska. Aby tego uniknąć, autorki rekomendacji proponują, żeby państwo uzupełniało składki nieopłacane przez kobiety w czasie wychowywania dziecka i zajmowania się domem. Pojawia się jednak pytanie, jaka ma być wysokość tych składek. Kuszącym rozwiązaniem jest potraktowanie opieki nad dzieckiem i domem, jako pracy zawodowej; oszacowanie jej wartości i wyliczenie odpowiedniej kwoty.

Co z tym postulatem jest nie tak? Przede wszystkim założenie, że jeśli ktoś za jakąś pracę nie otrzymuje wynagrodzenia, to jest to praca za darmo. Gdyby było inaczej, to w zasadzie za każdą wykonywaną czynność należałoby się wynagrodzenie: za wyprowadzenie psa, pomoc w lekcjach a nawet seks. W końcu wszystkie te rzeczy mają swoją cenę na rynku. A jednak wymiana nie zawsze musi mieć charakter pieniężny. W obowiązkach rodzinnych domownicy najczęściej dzielą się pracą. Po co mieliby sobie nawzajem płacić? To, że jedna osoba coś robi dla innych, nie znaczy, że nic nie otrzymuje w zamian. W tradycyjnych rodzinach także istnieje swoisty podział pracy, który na ogół wcale nie jest wymuszony siłą. Każde z małżonków robi po prostu to, co umie najlepiej: mąż zarabia pieniądze; żona opiekuje się domem i dziećmi (choć można sobie równie dobrze wyobrazić sytuację, że jest dokładnie na odwrót). Każde ciężko pracuje i nikt tak naprawdę nie jest poszkodowany.

Osobnym problemem jest sytuacja wdów, które nigdy nie pracowały a nie posiadają już przy boku męża, który odkładał na emeryturę. Istnieje jednak szereg sposobów na rozwiązanie tego problemu bez konieczności wprowadzania radykalnych metod, za którymi opowiadają się feministki. Po pierwsze, jeśli w rodzinie utrzymywany jest tradycyjny podział ról, to obowiązkiem męża jest zadbać o emeryturę żony, kiedy jego już zabraknie. W przypadku samodzielnego oszczędzania na starość jest to o tyle łatwe do zapewnienia, że odłożone środki na przykład w postaci aktywów finansowych nie przepadają wraz ze śmiercią (jak składki emerytalne), tylko mogą być dziedziczone. Jeśli jednak pozostajemy przy obecnym systemie emerytalnym, to należałoby wprowadzić instytucję emerytur małżeńskich, które znakomicie ułatwiają tradycyjnym rodzinom wspólne zabezpieczenie na starość. Feministki zresztą zauważają to rozwiązanie, tylko z niewiadomych przyczyn preferują nienaturalne konstrukcje z opłacaniem składek przez państwo.